WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 141 25 LISTOPADA 1975 R CENA 1,50 ZŁ

KN

Kto nam uwierzy, że chcielibyśmy być prawdziwymi patriotami?! Nie mamy szansy pokazania tego! – pisze w swym liście KATARZYNA, której list drukujemy dziś na str. 5. Rozpoczyna ona nową dyskusję KLUBU NASTOLATKÓW. Jej tytuł:

CZY MAMY SZANSĘ?

Na festynie w Sierpcu można było nawet poznać swoją przyszłość

SIERPC (HSI). To był prawdziwy „Jarmark cudów". Każde stoisko proponowało co innego — można było zjeść placki ziemniaczane i kiełbaski z rożna; można było kupić śliczne szydełkowe robótki; mieszkańcy Sierpca bawili się doskonale na dwóch loteriach fantowych; mogli zrobić sobie zdjęcie, bo krążył też po jarmarku fotograf; byli „Indianie" i „czarownice-wróżki", u których każdy mógł przyszłość poznać. Od czasu do czasu wpaść można było nawet na... autentyczną krowę, czynnie uczestniczącą w wielkiej zabawie zorganizowanej przez harcerzy ze szczepu HSPS przy tutejszym Liceum Ogólnokształcącym. Jego członkowie organizują takie festyny dość często, na ten ostatni przyszło mnóstwo ludzi, dzięki porozlepianym w całej okolicy wielkim plakatom. **(mh)**

W eterze CAŁEGO ŚWIATA

KRAKÓW (HSI). SP9 ZAS to w „języku" krótkofalowców nazwa Harcerskiego Klubu Łączności działającego przy tzw. Białym Szczepie w Krakowie.

Klub powstał kilka lat temu, ale tak naprawdę aktywnie działa od 2 lat. Jak się to potocznie mówi „postawił go na nogi", phm Andrzej Pelczer. Dzisiaj klub ma na swoim koncie setki łączności z krajami całego świata. Trzech członków klubu: Bogdan – SP9 JAH, Artur – SP9 JBM i Marek – SP9 JZV zdobyli w tym czasie licencje nadawcze. Harcerze – krótkofalowcy są też współwydawcami tzw. dyplomu krótkofalarskiego „Obozy harcerskie", który reprodukujemy powyżej. **(ej)**

O puchar GK ZHP

W GIMNASTYCZNYCH WIELOBOJACH

Niezwykle bogate i urozmaicone układy zademonstrowały zawodniczki startujące w VI ogólnopolskich zawodach w gimnastyce artystycznej „Młode talenty" o puchar GK ZHP, które odbyły się we Wrocławiu. W imprezie wystąpiło 41 gimnastyczek. W wieloboju grupy najmłodszej (do lat 13) triumfowała **Trojanowska** (Start Gdynia) przed **Paluszkiewicz** i **Mostowicz** (obie Unia Swarzędz). W gronie starszych zawodniczek zwyciężyła **Sobkowska** (Energetyk Poznań), przed swoją klubową koleżanką **Witecką** i **Stasiakówną** (Sparta Szczecin).

Młodym gimnastyczkom życzymy kolejnych sukcesów, a organizatorom imprezy (wrocławskiej Komendzie Chorągwi ZHP i Okręgowemu Związkowi Gimnastyki Artystycznej) gratulujemy wspaniale przeprowadzonych zawodów. **(zp)**

Zdjęcie: **CAF**

„MAZOWSZE" tańczy i śpiewa 25 lat

O zespole piszemy na str. 4

Zdjęcie: K. Adamowski

Dziś przedstawiamy:

ŚWIATOWA RADA POKOJU

Mija dziś 25 lat od utworzenia ŚWIATOWEJ RADY POKOJU. Jubileuszowa sesja odbywa się w Leningradzie.

Ruch obrońców pokoju zaczął się rozwijać po zakończeniu drugiej wojny światowej. W 1948 roku do Wrocławia przyjechali wybitni światowi intelektualiści na Kongres Działaczy Kultury w Obronie Pokoju. Wśród nich były takie postacie jak Pablo Picasso, Martin Andersen-Nexo – pisarz duński, a także John Bernall – angielski fizyk i historyk, Ilia Erenburg – pisarz i publicysta radziecki, Pablo Neruda, poeta, komunista chilijski, Fryderyk Joliot-Curie, pierwszy przewodniczący ŚRP – wszyscy odznaczeni później leninowską nagrodą pokoju. Z ich inicjatywy postanowiono utworzyć Światową Radę Pokoju i w tym celu w niespełna rok później zwołano, w Paryżu i Pradze, I Światowy Kongres Obrońców Pokoju. Ostateczne zjednoczenie ruchu obrońców pokoju nastąpiło w Warszawie, w dniach 16–22 listopada 1950 r. na II Światowym Kongresie.

Statut ŚRP określa, że podstawowym celem Rady jest walka o utrzymanie pokoju w świecie. Jedną z pierwszych akcji ŚRP o skali światowej było zebranie 500 mln. podpisów pod tekstem Apelu Sztokholmskiego (1950 r.) w sprawie zakazu rozprzestrzeniania broni jądrowych. ŚRP występuje przeciwko agresji i wyścigowi zbrojeń, walczy o całkowite rozbrojenie, pokojowe rozstrzygnięcie spraw międzynarodowych, nieingerencję w wewnętrzne sprawy państw. Występowała m. in. przeciwko agresji amerykańskiej w Wietnamie, agresji izraelskiej na Bliskim Wschodzie, apelowała o poparcie świata dla ruchów narodowowyzwoleńczych w Afryce, o ustanowienie systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie.

Światowa Rada Pokoju współpracuje z instytucjami, partiami, stowarzyszeniami w 125 krajach, jak również organizacjami międzynarodowymi, które działają na rzecz utrwalenia pokoju i pogłębienia procesu odprężenia.

Najwyższym organem ŚRP jest Kongres. Co dwa lata odbywa się sesja ŚRP, która wśród swoich działaczy wybiera 50 osobowe Prezydium, zbierające się 2 razy w roku. Bieżącą pracą Rady kieruje Sekretariat. Sekretarzem generalnym Światowej Rady Pokoju jest **Romesh Chandra** (Indie), który przebywając w Polsce w lipcu br. wysoko ocenił inicjatywy pokojowe krajów socjalistycznych. **(ew)**

Zajrzałem przez uchylone drzwi. Wywalone z szaf rzeczy walały się po podłodze. Pootwierane walizki, rozdarta torba podróżna upewniały, że ktoś splądrował pokój.

Zdarzyło się to w hotelu „Edison" w centrum Nowego Jorku. „Gawęda" wróciła z koncertu. W chwilę później chłopcy zameldowali, że dwa pokoje zostały okradzione. Właściwie nic strasznego. Mogłoby to się zdarzyć wszędzie, u nas również. „Bonanza" zaczęła się dopiero, kiedy „menażerowi" hotelu zameldowano o tym wypadku prosząc o wezwanie policji.

– Nie zawracajcie głowy... – oburzył się. – Spiszcie, co ukradziono, ubezpieczenie zwróci wam te straty. Takie kradzieże są u nas na porządku dziennym...

ZOSTALIŚMY też ostrzeżeni, żeby na noc zamykać się w pokojach od wewnątrz na łańcuch, a aparatów fotograficznych, kamer itp. nie zostawiać w pokojach.

JEDNEGO DNIA

W wydawanej w Chicago w języku polskim gazecie „Dziennik Związkowy – Zgoda" w numerze z dnia 4 września br. przeczytałem aż osiem notatek o wydarzeniach mrożących krew w żyłach. Przytoczę tylko niektóre:

William Terry odwiedził w domu Charlesa Garnera. Kiedy doszło do kłótni o pieniądze, które Terry był winien swemu przyjacielowi, gospodarz ranił go śmiertelnie nożem.

Właścicielka domu, Joyce Harris w czasie kłótni zastrzeliła swoją lokatorkę, Mary Frazier, ponieważ ta, kiedy zepsuł się system ogrzewania mieszkania, pozwoliła sobie używać w tym celu kuchenki gazowej.

J. Richard Franks został zatrzymany przez policję pod zarzutem wynajęcia za 500 dolarów płatnego mordercy, który miał zgładzić jego byłego wspólnika, Richarda Gravesa domagającego się zwrotu długu w wysokości 1.000 dolarów.

Banda wyrostków obrabowała wagon towarowy Chicago and Eastern Illinois R. R. z ładunkiem strzelb. Policja zdołała ująć dwóch z nich odbierając 35 sztuk broni palnej.

Ogółem w tych ośmiu wypadkach zginęło lub zmarło w niewyjaśnionych okolicznościach pięć osób, dwie – w obu wypadkach przedstawiciele porządku publicznego – zostały ranne. Szczęśliwie zapobieżono jeszcze jednemu morderstwu. A nie jest to przecież pełna kronika wydarzeń kryminalnych, które miały miejsce w Chicago poprzedniego dnia.

LUDZIE SIĘ BOJĄ

Tym razem w siedmiu wypadkach sprawcy zostali ujęci lub częściowo ujęci. Nie zawsze tak bywa jednak. Wracającego z pracy Geralda Johnsona, policjanta z Chicago Lawn District postrzelono, kiedy wchodził do domu. Sprawca pozostał nie znany. Nie znaleziono też zabójców Allena Tate, sprzedawcy w sklepie odzieżowym, zamordowanego w czasie rabunku jego mieszkania. I w wielu innych wypadkach. Nie znam odpowiednich statystyk, ale mówiono mi, tam w Stanach, że wykrywalność przestępstw jest stosunkowo niska. Drobniejszymi – jak np. opisaną na wstępie kradzieżą – policja w ogóle się nie interesuje.

Sami Amerykanie nie uważają swego kraju za bezpieczny. W Toledo w późniejszych godzinach wieczornych zatrzymaliśmy się samochodem na skrzyżowaniu ulic, by zapytać o dojazd do motelu. Minęło z dziesięć minut, kilka razy zmieniły się światła, zanim kierowca któregoś z kolei ze stających na sąsiednim pasie wozów, odważył się odkręcić szybę i odpowiedzieć na nasze pytanie. W Nowym Jorku słyszałem, że nawet w największe upały, nie jeździ się wieczorem samochodem z otwartymi oknami.

W Cleveland w czasie mszy do jednego z kościołów weszło kilku bandytów. Ponieważ przewodniczący komitetu parafialnego nie zdążył jeszcze zebrać datków na tacę, zastrzelili go. Mimo że było tam zebranych kilkaset osób, w tym połowa mężczyzn, mordercy nie zaczepieni przez nikogo, spokojnie wyszli.

We wszystkich rozmowach odczuwało się, że ludzie się po prostu boją, a za ten stan winią policję i Murzynów.

KILKA PODEJRZEŃ

A ja nie mogę uwolnić się od podejrzeń w stosunku do Jego Wysokości Mr. Dollara. Pieniądz zajmuje w Stanach pierwsze miejsce w systemie wartości. Sens życia sprowadza się przede wszystkim do zdobywania dolarów. Drugi człowiek w tej hierarchii wartości zajmuje więc znacznie dalsze miejsce. I to rodzi chęć zdobywania dolarów nawet kosztem życia ludzkiego. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że dla „zaoszczędzenia" 500 dolarów wynajmuje się płatnego mordercę, że właścicielka domu narażona na koszty przez lokatorkę oddaje do niej strzał, że przyjaciel rzuca się z nożem na przyjaciela zwlekającego z oddaniem długu? Jest to obraz głębokiego kryzysu moralnego tego społeczeństwa.

Ale sprowadzenie wszystkiego do tej jednej przyczyny byłoby oczywiście uproszczeniem. W Stanach istnieje liczna warstwa ludzi niepracujących. Ich kwalifikacje zawodowe nie pozwalają im zarobić wiele więcej niż otrzymują w postaci zasiłku dla bezrobotnych. Myślę, że w tym środowisku przede wszystkim – znaczną część jego stanowią Murzyni – lęgnie się bandytyzm i inne nieuczciwe sposoby zdobywania pieniędzy. Tym bardziej, że poziom wychowania tych ludzi jest równie niski jak kwalifikacje. A broń można kupić wszędzie, rejestracja jej jest nadzwyczaj prosta.

Można by oczywiście wprowadzić skuteczne ograniczenie posiadania broni. Przeciwko temu jednak protestują jej producenci. Zmniejszyłoby to ich zyski. (Kłania się znowu Mr. Dollar!). Wysuwają więc argument: co ma zrobić fizycznie słabszy człowiek, gdy napadnie go silniejszy, jeśli nie posiada broni. Argument równie demagogiczny jak naiwny. Bo jak uczy praktyka, napadający są uzbrojeni i strzelają znacznie lepiej.

Nie wiem, czy na psychice tego społeczeństwa nie ciąży też „epopeja" wymordowania Indian, czasy „gorączki złota", kilkanaście dziesiątków lat utrzymywania w ryzach Murzynów jako obywateli drugiej kategorii. Czasy, kiedy pistolet, nóż i samosądy rozstrzygały sporne kwestie. Tę przeszłość przypomina przecież stale film, telewizja, literatura, a nie wszyscy wzorują się na pozytywnych bohaterach.

I przypuszczenie ostatnie. Wielkie, kilkumilionowe aglomeracje miejskie ułatwiają ukrycie się przestępcy przed policją. Tym bardziej, że biali policjanci, a stanowią oni np. w Detroit trzy czwarte sił policyjnych, wynieśli się też poza miasto. Nie znają więc mieszkańców, w nocy pojawiają się tylko przejeżdżając w patrolu opancerzonym samochodem. Potwierdzałaby to przypuszczenie opinia, że znacznie bezpieczniejsze są przedmieścia, małe miasta, obszary pozamiejskie.

Dziwnie jednak brzmi dla mnie reklama radiowa nowo otwartego lokalu dancingowego kończąca się słowami: „Lokal znajduje się w bezpiecznej okolicy".

JERZY MAJKA

Zdjęcie autora

Amerykańskie zapiski (5)

LOKAL W BEZPIECZNEJ OKOLICY

Stróż porządku na nadmorskim bulwarze w Nowym Jorku prezentuje się okazale.

Zamienię czarną wołgę na Babę Jagę

Za moich młodych lat najczęściej straszyło się dzieci Babą Jagą. Nadawała się ona świetnie do groźnej roli postrachu maluchów ze względu na niezbyt chwalebną działalność uprawianą w bajce o Jasiu i Małgosi.

Straszenie jest w ogóle rzeczą brzydką. Straszenie dzieci — tym bardziej. Ale ta Baba Jaga nie była jeszcze taka niebezpieczna. Z bajek się szybko wyrasta.

Niestety, jednak nie wszyscy. Poniektórzy trwając w ich wyimaginowanym świecie, próbują przydawać im współczesną scenerię. Służę przykładem. Jedna z czytelniczek ze Stalowej Woli zwierzyła się z następującego kłopotu:

„O godz. 17.00 robi się szarawo i z tego względu muszę być już w domu, ponieważ — nie wiem, ile jest w tym prawdy — jeździ jakaś czarna wołga i wiele innych samochodów i porywają po dwie, trzy osoby, idące samotnie, następnie po doprowadzeniu człowieka za pomocą narkotyków do stanu zobojętnienia, pobierają krew i zwłoki chowają Bóg wie gdzie. U nas już o tym mówi się nawet w sklepach i na jarmarkach. Wszędzie można usłyszeć coś o czarnej wołdze. Ostrzegają nas w szkole i w domu. Co robić? Ciągle słyszymy: „uważajcie!" i „uważajcie!" Mnie aż nie chce się słuchać".

Ktoś puścił plotkę o czarnej wołdze, głupią i makabryczną. Przypomina mi ona trochę tę równie makabryczną bajkę o Babie Jadze. Miotłę zastąpiła wołga — oczywiście czarna, żeby wytworzyć dramatyczny nastrój, okropną wieźmę — agenci obcego państwa, też — w celu udramatyzowania — przebrani na czarno za zakonnicę i księdza, Jasia i Małgosię — jakiekolwiek dzieci lub nastolatki, a wsadzanie na szufli do pieca — wypompowywanie krwi.

Fabrykujących niestworzone bujdy nigdy nie zabraknie. Wstyd jednak człowieka ogarnia, jak wielu ludzi u progu XXI wieku gotowych jest natychmiast przyjmować za prawdę każdą bzdurę. Z jaką skwapliwością szukają jakiegokolwiek fakciku, który by potwierdzał, że to prawda. Kierowniczkę jednego z przedszkoli przy ruchliwej ulicy na początku roku szkolnego odwiedził milicjant, przypominając, że dzieci nie powinny być bez opieki puszczane do domu. „A więc z tą wołgą — to prawda" — wybuchł popłoch wśród rodziców.

Wstyd wstydem, ale nie kończy się na tym. Ta sama plotka kursowała w jednej z warszawskich szkół. Tak się zdarzyło, że podążającą do szkoły na trzecią lekcję uczennicę drugiej klasy zaczepiła starsza, na czarno ubrana (!) pani, pytając, gdzie tu mieszka cykliniarz. Zapytana, na sam widok dostała histerii i pędem pognała do szkoły krzycząc: „chciała mnie porwać!". Kilku „dżentelmenów" ze starszych klas natychmiast wybiegło przed szkołę. W pobliżu zauważyli zaparkowany samochód. Nie wołga co prawda, ale czarny. Zaczęli się dobierać siłą do bagażnika, żeby zdemaskować krwiożerczego wampira. Na szczęście właściciel zdążył się zjawić zanim doszczętnie zdemolowano mu wóz.

Uważamy się za nowoczesnych, obrażamy się, gdy ktoś twierdzi, że jest inaczej. A o czymże świadczą te historie jakby żywcem przejęte z mroków średniowiecza?

A jeżeli w domu lub szkole koniecznie muszą już czymś straszyć, proponuję: raczej Babą Jagą. Równie głupie, ale mniej szkodliwe.

JERZY MAJKA

Czy muszę być od nich zależna?

Jestem uczennicą VI klasy i nie mam zbyt wielu koleżanek. Są takie dni, kiedy moje dwie koleżanki przyjaźniące się ze sobą pokłócą się i wówczas ja zajmuję miejsce jednej z nich. Wtedy ta druga zaczyna mnie ośmieszać i obgadywać przy całej klasie. Potem, kiedy godzą się ze sobą — ja zostaję w cieniu — opuszczona. Czy naprawdę muszę być zależna od ich nastrojów? Myślę, że może po przeczytaniu tego listu zmienią swoje postępowanie...

Małgosia z Wrocławia

REDAKCYJNA POCZTA

Nie chcę stracić mojego chłopca

Mam chłopca, którego lubię, a nawet więcej... Do tej pory mama nie wiedziała o mojej sympatii i pozwalała mi chodzić gdzie chciałam. Miałam też wiele koleżanek, które teraz odwróciły się ode mnie, bo zazdroszczą mi chłopaka. Gdy mama dowiedziała się o naszych spotkaniach, stwierdziła, że mam jeszcze na nie czas. Nie pozwala mi chodzić do kina, ani na spacer. Muszę siedzieć w domu i wkuwać lekcje. Mój chłopiec też zaczyna się ode mnie odsuwać. Powiedział nawet, że skoro nie mam dla niego czasu, to zrywa ze mną. Co mam robić, aby go nie stracić?

„Gogo" z Krakowa, 15 lat

Jerzy Colus, ul. Młynarska 3/4 nr 41, 59-220 Legnica, interesuje się muzyką. Szuka nazwy dla zespołu muzycznego, w którego skład wchodzą flety, gitary i harmonijka.

Bardzo ważne!

Chodzę obecnie do VII klasy szkoły podstawowej w Kielcach. W tym mieście mieszkam trzy lata. Dawniej mieszkałam na wsi, gdzie uczęszczałam do szkoły. Tam był niższy poziom nauczania, a i nauczyciele mniej wymagali. Po przyjściu do miasta było mi bardzo trudno. W nowym środowisku, nowej klasie zaczęłam się denerwować i bać. Dostawałam złe stopnie. Nauczyciele tracili do mnie zaufanie. Na świadectwie miałam bardzo słabe trójki. Postanowiłam się poprawić. Nie poszło to gładko, ale dostawałam coraz więcej czwórek. Z niektórymi przedmiotami mam jednak kłopoty do dziś. Dlaczego o tym wszystkim piszę? Chciałam prosić, aby dobrzy uczniowie pomagali tym słabszym. Słabeusze też chcieliby się dobrze uczyć, ale albo nie mają warunków, albo nie mogą dać sobie rady z ogromnym materiałem. Okażcie im i mnie trochę zainteresowania, podajcie rękę!

Baśka

Więcej dyskrecji!

Na kolonii jedna z naszych koleżanek zaprzyjaźniła się z chłopakiem. Prowadziła z nim korespondencję, a listy wklejała do specjalnego zeszytu. Pewnego dnia, na lekcji wpisywała coś do tego zeszytu. Kiedy pani zadała jej pytanie, dziewczyna w ogóle nie wiedziała o co chodzi. Pani zabrała zeszyt i przeczytała głośno wszystkie listy. Dodawała jeszcze swoje komentarze. Pokazała zeszyt wszystkim nauczycielom. Nie możemy się z tym zgodzić! Nawet Kodeks mówi o poszanowaniu uczuć i przyjaźni oraz o dyskrecji w sprawach osobistych. A to przecież była sprawa osobista. Nauczycielka miała prawo zabrać zeszyt, ale czy mogła wszystkim go pokazywać? Teraz nauczyciele śmieją się z naszej koleżanki, a my wyobrażamy sobie, jak ona się czuje. Czy dobrze osądzamy tę sprawę?

Uczennice z kl. VII b

Od redakcji: Tak! Całkowicie zgadzamy się z Waszymi opiniami.

Wywiad z pasażerem, który nie dostał się do autobusu

Nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie to, że usiłował dostać się do ruszającego autobusu w sposób tak desperacki, iż trudno było tego nie zauważyć. Atakował drzwi wejściowe, szarpiąc je za klamkę, uderzając w nie pięściami. Drzwi jednak pozostawały zamknięte. Obiegał autokar z przodu, machał do kierowcy, krzyczał. Pospieszny do Katowic ruszył już jednak ze stanowiska na dwie minuty przed planowym odjazdem i choć nie był zapełniony, kierowca nie miał najmniejszego zamiaru przyjść z pomocą zdesperowanemu pasażerowi.

Rzadko zdarza się widzieć człowieka tak nieszczęśliwego z powodu PKS, że zainteresowało mnie to. Podszedłem.

— Ma pan następny autobus za godzinę — powiedziałem, chcąc go w ten sposób choć trochę pocieszyć.

— Proszę pana, ta godzina to wielka różnica, tak jakby to było trzydzieści sześć lat...

— Nie rozumiem.

— To bardzo długa historia.

— Mamy przecież godzinę.

— Tak, ale chodźmy na pocztę. Muszę zamówić rozmowę z katowickim lotniskiem. Nie wiem czy teraz mam po co jechać.

Na poczcie zaś usłyszałem tę oto historię...

Kiedy zaczęła się wojna on i brat byli w wojsku. Potem, gdy ich brygada dostała się do niewoli, obaj umieszczeni zostali w obozie jenieckim. Po jakimś czasie Krzysztof, brat mężczyzny z dworca, został przeniesiony do innego obozu w Rzeszy, niedaleko granicy szwajcarskiej.

NIE WIDZIAŁEM GO TYLE CZASU...

Od tamtej pory, a było to pod koniec 1939 r., bracia stracili ze sobą kontakt. Przeszła wojna. Alfred wrócił do kraju i, jak to często bywało, po jakimś czasie spotkał kolegę, którego przeniesiono wraz z bratem. Co z Krzysztofem? — spytał. I dowiedział się, że w 1943 r. Krzysztof uciekł wraz z kilkoma kolegami z obozu i dzięki pomocy niemieckich komunistów przedostał się do Szwajcarii.

Uciekinierów było czterech. Nikt nie znał dalszych ich losów, choć Alfred spotykał od czasu do czasu również innych kolegów z brygady. Napisał list do Czerwonego Krzyża, ale minęło wiele lat, a nie nadchodziła żadna wiadomość.

W tym czasie Alfred ożenił się, urodziło mu się dwoje dzieci, pracuje jako górnik w Rybnickim Okręgu Węglowym. Żył spokojnie, pogodziwszy się już z brakiem wiadomości o bracie, gdy pięć dni temu nadszedł telegram:

„Alfredzie! Ja żyję. Wybacz milczenie przez 36 lat. Miałem wiadomości, że zginąłeś. Po co było się odzywać, do kogo, jeśli ani ciebie, ani rodziców miało tu nie być. Pracuję jako ekspert handlowy w jednej z amerykańskich firm. Jutro będę w Moskwie w sprawie kontraktu, a za trzy dni mam przesiadkę w Warszawie na samolot do Wiednia. Pięć godzin czasu. Ustalimy, jak się zobaczyć na dłużej. Krzysztof".

To było wszystko. I Alfred właśnie tego dnia, gdy go spotkałem, jechał do Warszawy. O godz. 5.00 miał autobus do Katowic, stąd o 7.10 samolot do Warszawy, a w Warszawie lądował na 10 minut przed samolotem brata z Moskwy. Mógł jeszcze kupić kwiaty i stanąć u drzwi wyjściowych.

Te pięć godzin miało wyjaśnić 36 ostatnich lat: dlaczego Krzysztof myślał, że on nie żyje, skąd w końcu dowiedział się, że to nieprawda, jak znalazł jego adres, czy był już wcześniej w kraju, kiedy się zobaczą, co się działo z nim od momentu rozstania w obozie?

— Katowice, lotnisko, kabina pierwsza, proszę...

Podsłuchiwałem rozmowę:

— Proszę pani, mam samolot o siódmej dziesięć, ale nie zdążę, autobus mnie nie zabrał. Błagam, to życiowa sprawa, proszę przepisać mój bilet na dziewiątą pięćdziesiąt. Biorę zaraz taksówkę. Tak, rozumiem, pani nie ma żadnych podstaw, ale ja proszę. Mam się widzieć z bratem tylko parę godzin, nie widziałem go... Tak, bardzo dziękuję. Na pewno będę na godzinę przed odlotem.

Trzask słuchawki. Rozmowa skończona.

— I co? — pytam.

— Zostaną nam tylko dwie godziny. Przepraszam, do widzenia!

I pobiegł. Zaraz koło poczty był postój. Widziałem jeszcze, jak wsiada do taksówki i odjeżdża. I zdałem sobie sprawę, że byłem świadkiem dramatu, w którym obok p. Alfreda głównymi bohaterami były — chamstwo i ludzka uczynność.

WOJCIECH PIELECKI

Tam, gdzie odpoczywają rybacy

Jerzy Kowalkowski pisze z Wysp Kanaryjskich

WYSPY Kanaryjskie — dla jednych ocalała resztka Atlantydy, legendarnego kontynentu, który ponoć zatonął w oceanie. Dla innych — ostatni ślad pomostu łączącego podobno niegdyś Afrykę z Ameryką. Kilka szczytów potężnych gór wulkanicznych, wyrastających z dna Atlantyku. Na tym, co sterczy nad wodą, dużo brunatno-czerwonych skał, trochę zieleni w dolinach, kilkadziesiąt tysięcy kolorowych parasoli, rozpiętych nad stolikami kawiarń, barów, winiarni. Ponad milion mieszkańców i... turyści.

Na wyspie Gran Canaria w Las Palmas, stolicy wysp, beton zalewa wszystko i krzepnie w ogromne wieże hoteli, w kilometry bulwarów i ulic. Betonowa bariera, odgradzająca ląd od morza, wyrosła w ostatnich latach od Puerto de la Luz aż po stare Las Palmas. 12 kilometrów podziurawionego otworami okien betonu hoteli zasłoniło wspaniałą, starą hiszpańską architekturę i zieleń palm. Wielkie hotele wdarły się do miasta, gdzie ich ofiarą padły mniejsze, ale o ile piękniejsze domy. Obsiadły wzgórza nad miastem, nachalnie nowoczesne, obce w tym krajobrazie.

Wyspy Kanaryjskie słyną ze swoich 300 dni słonecznej pogody w roku, ze wspaniałego i klimatu, i krajobrazów. Ta sława przyciąga turystów i nie tylko ich... Każdego roku przebywają na tych wyspach tysiące ludzi morza. To marynarze i rybacy. Marynarze — bo tu pobierają paliwo, a rybacy po prostu odpoczywają lub remontują statki w okresie między sezonami łowczymi. Nie opłaca im się płynąć na ten czas do odległych portów Japonii, Korei czy nawet tylko na Kubę. Japońskie przedsiębiorstwa rybackie zakupiły na wyspie Gran Canaria tereny i pobudowały osiedla dla swych pracowników. Inni mieszkają na statkach lub w tanich hotelach.

Wśród rybaków z całego świata zawsze można spotkać Polaków. Las Palmas to dla nich nie tylko miejsce odpoczynku, ale również jakby drugi macierzysty port. Tu leczą się w szpitalach, gdy zachorują na morzu, stąd odlatują samolotami LOT-u do kraju, gdy wymieniają się załogi; tu remontują statki w przypadku awarii. Ale przede wszystkim odpoczywają, bo po kilku miesiącach połowów rekreacja, choćby najkrótsza jest konieczna. Trochę zwiedzają, robią drobne i większe zakupy, siedzą przy winie, wybierając tak miejsce, aby morze mieć za plecami, a nie, broń Boże, przed sobą.

Większość rybackich statków staje na kotwicach i komunikacja z lądem odbywa się przy pomocy szalup. A gdy wieczorem rybak wraca na statek, nie bardzo nawet patrzy czy to szalupa jego statku. Płynie się tą, która akurat jest przy nabrzeżu. Wszystko jedno jaką: swoją, radziecką, rumuńską, bułgarską czy NRD-owską albo po prostu z kotwiczącego obok statku. Ten międzynarodowy szalupowy most działa bez przerwy jak rok długi. Zmieniają się statki, załogi, ale zawsze z nabrzeża Santa Catalina odbija jakaś szalupa. Jeśli z niej, ponad hiszpańskimi okrętami wojennymi, statkami różnych bander, wieczorna bryza uniesie pieśń „Szła dziewczeczka do laseczka...", to wniosek jest jeden: dzień wypoczynku dla załogi któregoś z naszych statków rybackich się skończył. Nie trzeba dodawać, że inne narody też swe pieśni mają.

Nad Wyspami Kanaryjskimi zawisły ostatnio trzy groźby. Pierwsza już się spełniła: statki, które dotychczas płynęły dookoła Afryki zmuszone były zachodzić tu po paliwo, po otwarciu Kanału Sueskiego do Las Palmas nie zawijają. Druga dotyczy rybaków: jednostronne ogłoszenie przez państwa północnej Afryki znacznego poszerzenia wód, na których obowiązuje zakaz połowów dla obcych rybaków, musi w konsekwencji skończyć się przeniesieniem flot łowczych w inne rejony świata. I wreszcie groźba trzecia, przez Kanaryjczyków jeszcze nie uświadomiona. Prosperity turystyczne trwa, ale doświadczenie uczy, że miejscowości turystyczne podlegają modzie. I od pewnego roku turyści mogą zacząć omijać te wyspy. Również i dlatego, że czasy ich taniości skończyły się równocześnie z budową luksusowych hoteli. Legendarne Wyspy Kanaryjskie z roku na rok tracą swą urodę wskutek pogoni za zyskiem przedsiębiorstw turystyczno-hotelowych, zalewających betonem to, co było tu najciekawsze i najpiękniejsze.

Zdjęcia **autora**

„MAZOWSZE" tańczy i śpiewa 25 lat

Piosenki z repertuaru „Mazowsza" towarzyszą nam już od lat wplatając się w pamięci w najbardziej osobiste przeżycia. Nigdy nie zapomnę pierwszego koncertu tego niezwykłego zespołu w dniu 6 listopada 1950 roku. Widownia Teatru Polskiego w Warszawie biła rzęsiste brawa, a już nazajutrz po koncercie nuciliśmy sobie tęskną „Dumkę o ptaszku", „Kukułeczkę". Wówczas dla mnie, i dla wielu innych także, było to objawienie, odkrycie nowych, nieznanych nut w naszej ludowej piosence. Nie gustowałam w wiejskich kapelach, krzykliwych, jurnych, chłopskich pieśniach, ale tego wieczoru poznałam folklor, jakiego nie znałam.

Twórca „Mazowsza", Tadeusz Sygietyński, wydobył z naszego folkloru najcenniejsze klejnoty dając im artystyczną oprawę. Na początku były to pieśni i tańce jednego regionu — Mazowsza. Z czasem zespół włączył do swego repertuaru pieśni i tańce innych regionów — od Podhala po Kaszuby, czerpiąc z pełnego skarbca polskiej kultury ludowej.

W 1948 roku, kiedy powstawał Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze", nie było jeszcze wykształconej muzycznie młodzieży. Tadeusz Sygietyński odkrywał po zapadłych wioskach zdolne dzieci niezamożnych rodziców. Umiejętność śpiewu i tańca zdobywały one w siedzibie „Mazowsza", w podwarszawskim Karolinie, pod kierunkiem Tadeusza Sygietyńskiego i jego żony, Miry Zimińskiej, śpiewaczki i aktorki, która po śmierci męża od 1955 r. sama prowadzi zespół.

„Tutaj w Karolinie żyć będzie pieśń ludowa i taniec ludowy. Stąd wyjdą one do wielkomiejskich teatrów i świetlic wiejskich. Uczyć będą miłości i szacunku dla polskiej kultury ludowej. Będą tę kulturę pielęgnowały, szerzyły" — mówił Tadeusz Sygietyński w jednym z wywiadów w czasie powstawania zespołu. I te słowa okazały się prorocze. Zespół już wymienił się kilkakrotnie, a wpływ „Mazowsza" okazał się twórczy. Powstawały amatorskie zespoły ludowe, narodził się „Śląsk", piosenki z repertuaru „Mazowsza" śpiewa cała Polska, sztuka i twórczość ludowa stała się cenionym i pielęgnowanym skarbem narodowym.

„Mazowsze" spopularyzowało polski ludowy taniec, piosenkę i strój nie tylko w kraju, ale także i za granicą. W Karolinie powstało Muzeum Darów i Pamiątek zbieranych po całym świecie w artystycznym tournée zespołu. Jest tam również sala strojów regionalnych z 33 regionów, czytać można pochwalne recenzje z występów zespołu, pisane przez dziennikarzy z 39 krajów.

Jubileuszowy bilans osiągnięć Mazowsza" jest olbrzymi. Powiększył się sam zespół z 80 członków do 102 tancerzy i 27 członków orkiestry. Odbył w tym czasie około 3 tys. koncertów, które obejrzało prawie 9 milionów widzów w kraju i za granicą. Ukazało się ponad 850 tysięcy płyt z nagraniami zespołu, powstały o nim dwa filmy dokumentalne, wystąpił także w dwóch filmach fabularnych „Przygoda na Mariensztacie" i „Żona dla Australijczyka". W uznaniu zasług dla kultury polskiej i jej popularyzacji w świecie „Mazowsze" po raz drugi odznaczono w tych dniach Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Oglądając jubileuszowe koncerty zespołu w Warszawie stwierdziłam, że „Mazowsze" jest ciągle młode, świeże, odkrywcze, pełne zapału i aż dziw, że ma już 25 lat! **(bt)**

Zdjęcia: **K. Adamowski** i **CAF — Rostak**

W cieniu wielkich sław?

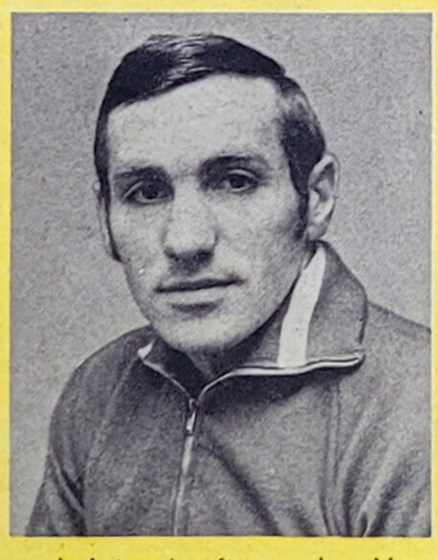

JESZCZE z Gera wystartowali przy słonecznej pogodzie. W miarę pokonywania ciężkiej, pagórkowatej trasy niebo zasnuwały coraz czarniejsze chmury. Wzmagał się też boczny przenikliwy wiatr, paraliżujący mięśnie. Na dodatek rozszalała się ulewa: ściana deszczu ograniczała widoczność niemal do zera. Kraksy i defekty mnożyły się na szosie. Niemal wszyscy Polacy zmieniają koła, ba, nawet całe rowery, tracąc cenne minuty. Główni rywale, jadący dotąd szczęśliwie, w porę zorientowali się w sytuacji naszego zespołu. Mocniej przycisnęli pedały. Biało-czerwoni nie zdołali już nadrobić znacznych strat. W Karlovych Varach, choć była tam meta dopiero szóstego etapu, przegrali cały wyścig! **Zbigniew Krzeszowiec** z roweru zszedł przy pomocy postronnych obserwatorów, ale nie załamywał rąk. Na następnych etapach zaimponował ogromną ambicją. Na mecie w Gottwaldowie był pierwszy, dwa razy drugi i dwa razy trzeci na kolejnych finiszach. Niepomny generalnej porażki w Karlovych Varach, atakował nieustępliwie. Przegrał wprawdzie 25 WP (XXXI m.), ale w wielkim stylu.

W bieżącym roku nie zobaczyliśmy Krzeszowca na listach startowych znaczniejszych wyścigów. A jeszcze ubiegły sezon zakończył się dla niego IV lokatą w tradycyjnym challenge'u. „Przeglądu Sportowego" i PZKol... Jak to się stało, że zrezygnowano z „usług" tego niezwykle doświadczonego i pracowitego zawodnika? Czy nie za wcześnie?

DEBIUTANCKIE OSTROGI

Kolarska przygoda Zbigniewa Krzeszowca rozpoczęła się w LZS Niemodlin. Jako junior zwyciężył w kilku wyścigach. W pierwszych startach i treningach zdany był wyłącznie na własne siły. Żadnej fachowej opieki, trenerskich rad! Nic więc dziwnego, że młody zawodnik przenosi się do Piasta Gliwice. Trener **Janusz Nawrot** szybko poznał talent chłopca. Zresztą Krzeszowiec sam sobie dokłada dodatkowe kilometry treningów, sięga po coraz większe sukcesy. Po roku pracy pod okiem Nawrota awansuje do kadry olimpijskiej. Dwa lata później jest już członkiem zwycięskiego zespołu w Bałtyckim Wyścigu Przyjaźni, zajmuje III miejsce w górskich mistrzostwach kraju i XIII w Tour de Pologne. Do narodowej kadry przyjęto go w 1969 r. W doborowej stawce, bo z **Czechowskim, Hanusikiem, Kaczmarkiem, Stecem i Szurkowskim**, wyjeżdża do Pragi na WP. Wszyscy jego koledzy stają na podium po poszczególnych etapach, on — nie. Dlaczego?

Jak na debiutanta, imprezę rozpoczął wspaniale. Po czwartym etapie

Czy mamy SZANSĘ?

To jest bardzo skomplikowana sprawa i proszę, abyście potraktowali ją naprawdę poważnie i nie wrzucali tego listu do kosza. Zastanawiałam się nad tym bardzo długo i doszłam do wniosku, że jednak muszę się kogoś poradzić. Bo to jest tak — czytamy różne książki, w których jest mowa o bohaterach, o patriotach. Uczymy się o nich w szkole, rozmawiamy na ten temat na zbiórkach harcerskich. I wszystko jest fajnie dopóki mówimy o tym, co było. Ale w końcu to, co było jest mniej ważne od tego, co jest w tej chwili. I o tym też mówimy. Np. o tym, że powinniśmy być patriotami. To jest tak w ogóle oczywiste, ale praktycznie nie wiem jak to zrealizować. Po prostu, są to... puste słowa.

No bo np. Janek Krasicki. Walczył o Polskę, zginął za ojczyznę, był bohaterem. Albo Hanka Sawicka, albo major Hubal, albo generał Świerczewski... A my, a ja!?

To może zabrzmieć jak jakaś herezja, bo ja przecież świetnie wiem, że oni walczyli i zginęli po to, żebyśmy my mogli żyć spokojnie i w pokoju, ale tak naprawdę, to wydaje mi się czasami, że nic już dla nas nie zostawili. Nie, ja wcale nie chciałabym, żeby teraz była wojna albo jakaś okupacja — wiem z opowiadań rodziców, jakie to były straszne i okropne czasy. Z jednej strony jestem naprawdę szczęśliwa, że mnie ominęły, ale z drugiej strony... troszeczkę mi żal. Po prostu ani ja, ani moi koledzy nie możemy pokazać, że też jesteśmy patriotami, że też moglibyśmy oddać za ojczyznę życie. Możemy tylko o tym mówić, ale słowa przecież nic nie znaczą, mówić może każdy.

Czytałam o harcerzach, którzy byli listonoszami poczty powstańczej. Czytając płakałam nad tymi, co zginęli, ale i zazdrościłam im. Zazdrościłam im możliwości wykazania się.

Mówią nam w szkole, że naszym patriotycznym obowiązkiem jest nauka. Ja się dobrze uczę, ale wcale nie czuję, że robię coś wielkiego, coś bohaterskiego. Po prostu, chodzę do szkoły, uważam na lekcjach, odrabiam zadania domowe... To naprawdę nie to samo!

Pomyślicie pewnie, że „filozofuję", ale będziecie w błędzie. Nie tylko ja tak myślę, rozmawiałam z koleżankami, z kolegami, wszyscy uważają, że niestety — my nie mamy szansy bycia prawdziwymi patriotami. A naprawdę chcielibyśmy! Lecz kto nam uwierzy?

Katarzyna

KATARZYNA niesłusznie obawiała się, że wrzucimy jej list do kosza. Nam też się wydaje, że sprawa, którą w nim poruszyła jest ogromnie poważna.

A wy, jak się wam wydaje?!

Czy można KATARZYNIE uwierzyć, że jest prawdziwą patriotką? Mimo, że nie ma — jak pisze — szansy pokazania tego?

A może się myli, może ma taką szansę?

A może ma rację, to co wtedy?

- **ZASTANÓWCIE SIĘ!**
- **NAPISZCIE!**

Rozpoczynamy dziś kolejną dyskusję, jej tytuł — „CZY MAMY SZANSĘ?". Czekamy na twój głos, na głos twojego kolegi i twojej koleżanki! Na kopertach zaznaczcie hasło: „CZY MAMY SZANSĘ?".

KLUB NASTOLATKÓW

był nawet szósty w klasyfikacji generalnej. Jednak w indywidualnej jeździe na czas nie potrafił rozłożyć sił, zabrakło też doświadczenia. Spada na XXXI miejsce. To zadecydowało, że trener **Henryk Łasak** przydziela mu specyficzne zadanie: asekurowanie Szurkowskiego. Krzeszowiec z powierzonej mu roli wywiązał się wspaniale. Niby cień, towarzyszył polskiemu liderowi, wyrabiał mu pozycje ataku, skutecznie likwidował każdą akcję przeciwników. Jechał nawet na rowerze równym wysokością maszynie Szurkowskiego. Na wypadek jej awarii... Ale i dla Krzeszowca nastał okres sukcesów.

RUNDA NA WIELBŁĄDZIE

Stało się już tradycją, że przed każdym Wyścigiem Pokoju nasi kolarze szlifują swoją formę na kontynencie afrykańskim. I tak na początku 1971 roku biało-czerwoni wyjechali na Tour d'Algerie. I oto sensacja: w doborowej stawce zawodników z całej Europy Krzeszowiec wygrał pierwszy etap. Wprawdzie już na następnym Szurkowski odbiera mu żółty trykot, ale śmiały atak szosowca z Piasta Gliwice ponownie awansuje go na lidera wyścigu. Odmieniają się role: teraz wszyscy koledzy pomagają mu w obronie pierwszej lokaty. I udało się! Zdjęcie Krzeszowca ubranego w piękny arabski burnus, robiącego honorową rundę na... wielbłądzie, drukowane jest na czołowych kolumnach gazet.

Ale 24 WP rozpoczyna się dla naszego reprezentanta pechowo. Podczas kryterium ulicznego w Warszawie, na oczach 80-tysięcznej widowni Stadionu Dziesięciolecia, wykonuje kolarskie salto. Cały wyścig kończy się dla Krzeszowca zwycięstwem etapowym i generalną XV pozycją. Historię 25 WP już znamy, zaś w następnej majowej imprezie gliwiczanin finiszuje po XII miejsce.

NIEPOROZUMIENIE

Ubiegłoroczny Tour de Pologne zakończył się dla niego największym sukcesem (IV m.) i... największym rozgoryczeniem. Był to zresztą bardzo dziwny wyścig. Wcale nie dlatego, że startowali w nim zawodowi kolarze. Ta impreza pozostawiła niesmak nie tylko u kibiców. Rzadko spotykaną rywalizację polskich zawodników, będącą czasami zaprzeczeniem kolarskich zmagań, znakomicie wykorzystali belgijscy zawodowcy **Delcorix i Peetersem** (zajęli I i II miejsce). **Trzeba powiedzieć prawdę, że Krzeszowiec i Matusiak mogli, oczywiście przy pomocy kolegów, pokusić się o generalny sukces. Szkoda, że tej pomocy nie udzielił im nikt.**

Następne rozgoryczenie nastąpiło kilka miesięcy później: Zbigniewa Krzeszowca nie powołano do kadry na tegoroczny sezon. Nawet nie wytłumaczono mu, dlaczego. To musiał być dla niego wstrząs. Ale kolarz, choć zdany na własne i klubowego trenera siły, pracuje znacznie więcej. Chce udowodnić, że będzie jeszcze zwyciężał. Ma przecież dopiero 27 lat. Jest to wiek dla szosowca idealny. Czwarty kolarz w klasyfikacji światowych wyścigów wieloetapowych, na przekór różnym siłom nie składa broni.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Zdjęcia: **M. Świderski**

Kiedy się jedzie szosą z Czerska do Wiela, wiatrak widać jak na dłoni. Stoi na niewielkim pagórku, jest okrągły, zbudowany z biało-czerwonej cegły. Po skrzydłach i po dachu dawno już śladu nie ma, wewnątrz po zmurszałych deskach hula wiatr i walają się śmieci. A jednak pomimo tak znacznej dewastacji wiatrak ciągle budzi zainteresowanie. Jedni chcieliby tu założyć motel, inni restaurację, a Krzyśkowi Woźniakowi z Czerska zamarzyła się tu... harcówka.

Historia pesymistyczna

czyli opowieść o tym JAK PEWIEN WIATRAK HARCÓWKĄ STAĆ SIĘ NIE MÓGŁ

Krzysiek i jego koledzy pamiętają wiatrak jeszcze z dzieciństwa, czyli jak mówią „z młodości", jako znakomite miejsce do zabaw. Później o nim zapomnieli, dopiero kiedy na lekcji historii pan opowiedział im o ciekawostkach Czerska i okolic, przypomnieli sobie o starym wiatraku. Wyprawili się więc tam któregoś popołudnia na rowerach. Stary wiatrak majestatycznie rozpierał się na wzgórzu. Może to sprawił zachód słońca, a może trochę niesamowity urok wiatraka, że chłopcy zamilkli jednocześnie. I chyba właśnie wtedy Krzyśka zaczarowało na dobre. Postanowił, że wiatrak musi być ich.

Przez następne dni łazili po jego wnętrzach. To byłaby najpiękniejsza harcówka — o okrągłych ścianach z cegły, dwupiętrowa, z drewnianymi schodami. Na jednym z pięter miało powstać muzeum archeologiczne drużyny. To, że wiatrak był wewnątrz całkowicie zniszczony zupełnie ich nie przerażało. Wizja wspaniałej harcówki dodawała sił, wzbudzała entuzjazm.

— Jeśli się chce, to się wszystko zrobi. Gdy dorośli nam pomogą, odbudujemy wiatrak!

✦

Aby jednak zacząć wiatrak odbudowywać należało go najpierw zdobyć, był przecież czyjąś własnością. Na „pierwszy ogień" poszedł szczepowy — przez godzinę opowiadali o wiatraku i o swoich planach. Druh słuchał uważnie, nie przerywał, a gdy wydawało im się, że zdobyli już pierwszego sojusznika, w końcu podsumował:

— Wszystko to pięknie! Ale czy wy wiecie ile kosztowałoby zagospodarowanie wiatraka? Najskromniej licząc, kilkadziesiąt tysięcy złotych. A skąd wziąć tyle pieniędzy? A poza tym wiatrak jest własnością prywatną.

Wtedy też odpadli pierwsi zapaleńcy — skoro druhowi się pomysł nie spodobał, to nic z niego nie będzie. Ten wiatrak — to marzenie „ściętej głowy".

Została ich czwórka — Krzysiek, Włodek, Andrzej i Marek, którzy nie dali jednak za wygraną. Już następnego dnia wybrali się z wizytą do właściciela wiatraka. Przez całą drogę liczyli drzewa przy drodze. Jeśli ich liczba będzie parzysta, to właściciel zgodzi się podarować lub wypożyczyć wiatrak, jeśli nieparzysta to nic z tego. I chociaż ostatnie drzewo było akurat... niepatrzyste, to jednak zdecydowali się wejść. Rozmowa nie trwała długo.

— Mam swoje własne plany związane z wiatrakiem — powiedział. — Takiej cegły już dzisiaj nigdzie nie dostanę, więc chcę z niej wybudować dom. A więcej nie wchodźcie do wiatraka, tam jest niebezpiecznie!

Cóż, miło im się po tej wizycie nie zrobiło, a i dwóch kolejnych odpadło, przestali wierzyć, tylko Krzysiek z Andrzejem mieli nadzieję. Została im już tylko jedna, ta ostatnia — naczelnik miasta. Krzysiek prawie całą noc nie spał przed tą wizytą. Ułożył sobie plan rozmowy — podkreślił na czerwono najmocniejsze argumenty. Czy znajdzie wreszcie prawdziwego entuzjastę wśród dorosłych?

Następnego dnia Andrzej zachorował, więc sam powędrował do Urzędu Miejskiego. Niestety, naczelnik bezradnie rozłożył ręce i powiedział to samo co druh — że koszty, że własność prywatna i że żaden zakład nie zechce wziąć pod patronat tak kosztownego obiektu.

Krzysiek wlókł się do domu noga za nogą. W planie „walki o wiatrak" miał jeszcze zamiar odwiedzić dyrektora Fabryki Mebli i Zakładów Przemysłu Drzewnego oraz prezesa WSS. Teraz jednak opadł z niego cały entuzjazm. Wiadomo, że te wizyty też nic nie dadzą. Dorośli mają swoje racje, przy których ich marzenia bledną i stają się marzeniami „ściętej głowy".

✦

Historia brzmi pesymistycznie. Tak samo brzmiał list do redakcji. List z prośbą o pomoc — przyjedźcie, zobaczcie, poradźcie!

Pojechałam do Czerska. Wiatrak stoi. Faktycznie romantyczny, faktycznie ruina prawie. Żaden zabytek, ot pozostałość po epoce gdy w takim młynie ziarno się na mąkę mello. Właściciel jego gdy się dowiedział, że ja też w sprawie wiatraka, to niemal się zdenerwował, chociaż spokojny z niego człowiek. Tyle różnych ludzi, instytucji już się o ten wiatrak pytało, każdemu by się do czegoś przydał. Nikt tylko się nie pyta, czy jemu, właścicielowi na nic się nie przyda, czy on ma ochotę wpuścić obcych na swoje pole. Rozbierze go teraz, cegłę na dom zużyje, a wiatrak nikogo w oczy kłuł nie będzie. I spokój będzie miał.

— Proszę pani, nikomu nie opłacałoby się w tej chwili w tę ruderę inwestować! — mówi w końcu.

Chłopcy, którym zamarzyła się w wiatraku harcówka, mają żal do wszystkich, którzy nie chcą się do nich przyłączyć. Trudno im się dziwić, marzyli o tym wiatraku, liczyli, że go zdobędą. Z drugiej strony sprawa wygląda tak, że dostać ten wiatrak nie tak prosto. Po pierwsze nie jest on do dania, po drugie — gdyby właściciel jego zrezygnował nawet z tej rozbiórkowej cegły i podarował wiatrak harcerzom, to w stanie obecnym nie nadaje się on do użytku, a koszt remontu wielokrotnie przewyższa możliwości finansowe drużyny. Musieliby znaleźć przyjaciół, którzy do ich chęci i wkładu pracy harcerskich rąk dodaliby odpowiednią pomoc finansową.

„Świat Młodych" nie jest w stanie rozwiązać tych wszystkich kłopotów. Ale wiatrak mnie też zauroczył. Murowany, zbudowany w 1912 r. Pewnie jeden z ostatnich, zanim zastąpiły je młyny parowe. Nie wiem, ile takich wiatraków zachowało się w Polsce, nie wiem, czy należy go rozebrać na cegłę. Wiatraki w ogóle rzadko już można spotkać w naszym krajobrazie.

Zwracam się z tym pytaniem do Głównego Konserwatora Zabytków i do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Bydgoszczy. A gdyby oni uznali, że rozebranie wiatraka jest niedopuszczalne, myślę, że inicjatywą Krzyśka powinna zainteresować się Komenda Chorągwi ZHP w Bydgoszczy. Pomóc mu znaleźć przyjaciół.

ELŻBIETA JEDLIŃSKA
Rys. **M. Teodorczyk**

GWIAZDOZBIÓR

W roku 1963 byłem uczestnikiem Sekcji Teatralnej Pałacu Młodzieży w Warszawie. Pierwsze kroki aktorskie stawialiśmy pod okiem pani Klementyny Pytlarczyk. Pamiętam – była w naszej grupie jasnowłosa, wysoka, subtelna dziewczyna, pamiętam, że na imię miała Anula... Po dwunastu latach spotykamy się w kawiarni.

Anna Nehrebecka

WITA MNIE SŁOWAMI:

— Dwanaście lat temu byłeś łysy!

— Myślałem, że mnie nie poznasz. Rzeczywiście, grałem wówczas w łysej peruce. A ciebie poznałem od razu — nic się nie zmieniłaś. Chciałem z tobą zrobić wywiad dla „ŚM".

— Możemy spróbować, ale uprzedzam cię, że strasznie mnie to peszy...

— Pozwól, że zadam ci nieśmiertelne, po długim niewidzeniu, pytanie: co u ciebie słychać?

— Pracuję, jak wiesz, w Teatrze Polskim, teraz jednak nie gram na scenie — kończę zdjęcia do filmu „Olśnienie". Nie widzieliśmy się wiele lat, więc króciutko ci opowiem: w 1969 roku skończyłam szkołę i zaczęłam pracować. W sumie do tej pory grałam w ponad dwudziestu rolach teatralnych i filmowych. Ostatnio — w „Ziemi obiecanej", „Dr Judymie", „Nocach i dniach" (wersja telewizyjna), w teatrze — „Rumcajs", „Na szkle malowane".

— Powszechna jest opinia, że dla aktora największa trudność to opanowanie tekstu. Co dla ciebie jest w aktorstwie najtrudniejsze, a jednocześnie najciekawsze?

— Najciekawsze i najtrudniejsze zarazem?.... Chyba możliwość ciągłego przeistaczania się w coraz to inną postać — to chyba jest najbardziej frapujące w tym zawodzie. Jednocześnie — szalenie trudne, bo przecież każda rola wymaga innego podejścia, każda postać ma swoją psychikę, inne, sobie tylko właściwe, cechy.

— A przecież aktor, żeby być dobrym aktorem, musi zachować indywidualność, własny stosunek do sztuki, właściwie — do całego świata.

— Przede wszystkim nie powinnam zmieniać stosunku do samej siebie, do swej pracy. Wprawdzie po udanej roli przewraca mi się na jakiś czas w głowie, ale z pomocą mamy, bardzo krytycznie nastawionej do mojej pracy, szybko schodzę na ziemię. Po kilku dniach znów jestem taka sama, jak przedtem, jak przed każdą nową rolą — niezadowolona z poprzedniej, pełna optymizmu, że tę następną zrobię lepiej. Potem pracuję, znów jestem niezadowolona — i tak ciągle. Ale to chyba dobrze, bo nie ma nich gorszego niż samouwielbienie — pewnie wtedy nie miałabym już nic więcej do powiedzenia ludziom. A tak — staram się ciągle coś zmieniać, przekazywać widzom mój świat wewnętrzny, który z biegiem czasu wzbogaca się o coraz to nowe doświadczenia. Żyję, zmieniam się, więc i moje postacie się zmieniają. Sztuka aktorska polega chyba na tym, by te zmiany były kontrolowane i by podporządkować je artystycznym wymogom spektaklu czy filmu. No a poza tym — muszę zainteresować widza. Aktorstwo wtedy ma sens, kiedy jest interesujące dla widza, aktor musi czuć się potrzebny widzowi. Jeśli będzie czuł się potrzebny — tym więcej i chyba lepiej będzie pracował. Jedno jest zależne od drugiego.

— Jak dajesz sobie radę z pogodzeniem tylu zajęć naraz? Masz czas na jakieś ulubione zajęcia?

— Bardzo mało. Lubię jeździć konno, ale kiedy?! Rzeczywiście — musi to być wielkie święto, żebym znalazła czas na własne, pozazawodowe zainteresowania. Kiedy zmęczona wracam ze zdjęć i kilka dni jestem w Warszawie — najchętniej siedzę w domu.

— Dwanaście lat temu nawet do głowy nie przyszło mi, że kiedyś spotkamy się i że będę prosił cię o udzielenie wywiadu...

— Marzyliśmy wtedy o wielu rzeczach. Niektóre marzenia spełniły się. Zresztą — nie tylko nasze. Przypomnij sobie — w równoległej grupie była i Stasia Celińska, i Andrzej Seweryn, i Joaśka Orzeszkowska, i Piotrek Cieślak — wszyscy chcieli być aktorami. Łatwo to nie przyszło, ale zrealizowaliśmy swoje młodzieńcze dążenia. Wytrwałość, może upór, a może trochę szczęścia...

— Teraz jesteś osobą znaną...

— Nie przesadzaj! A jeśli mi zazdrościsz — to zupełnie niemądrze. Popularność to w ogóle bardzo dziwna rzecz, czysto zewnętrzna. Staram się nie zwracać uwagi na to, czy mnie ludzie poznają na ulicy, czy nie. Jakoś mało mnie to interesuje. Aktor jest jakby własnością publiczną, a to nie zawsze jest przyjemne. Czasem kiedy całkiem zwyczajnie idę ulicą, słyszę: „zobacz, jaka ta Nehrebecka — nikogo nie widzi, zarozumiała jakaś, a jak fatalnie się ubiera!". Spróbuj ubrać się jakoś inaczej niż przeciętnie, zaraz wszyscy cię ocenią: „artystkę z siebie robi!". Z życiem prywatnym jest tak samo jak z naszą dzisiejszą rozmową — ty robisz wywiad, a ja udaję, że o tym nie wiem.

— Jeśli zechcesz, możemy spotkać się zupełnie prywatnie...

— Oczywiście. Żeby autoryzować wywiad...?!

Rozmawiał: JERZY KULIK

Zdjęcie: **R. Pieńkowski**

Polskie „Sasanki" w Belgradzie

RENATA SUTOR pisze z Jugosławii

CO roku, na początku października w Belgradzie odbywa się Festiwal Dzieci pod nazwą „Radość Europy". Polskę reprezentował w tym roku zespół „Sasanek" ze Szkoły Nr 3 w Zielonej Górze. Grupa polskich harcerzy przyjechała w składzie: 36 dziewcząt i 1 chłopiec. Opiekunką zespołu była pani Maria Grzyb, pod której kierunkiem „Sasanki" przygotowały ciekawy program artystyczny pt. „Cztery pory roku".

Podczas pobytu polskiego zespołu z Zielonej Góry w Belgradzie opiekowała się nim młodzież ze szkoły im. Prezydenta Tito. Występy „Sasanek" były bardzo serdecznie przyjmowane przez jugosłowiańską młodzież. Nam — Polakom, przebywającym w Jugosławii czasowo — było szczególnie miło, że „Sasanki" tak ładnie i oryginalnie się prezentowały. Miałam okazję zapoznać się z nimi osobiście na spotkaniu zespołu w ambasadzie polskiej, zorganizowanym przez radcę kulturalnego. W czasie rozmowy Danusia, Grażyna i Ola opowiedziały mi o wycieczkach po Belgradzie, o tym jak złożyły wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza w Awali oraz o nowych przyjaźniach, jakie zawarły z dziećmi innych krajów europejskich. Dowiedziałam się także, że pani Donca Spicek — główna organizatorka Festiwalu „Radość Europy" — otrzymała polski Order Uśmiechu.

Na zdjęciu widzicie moment wręczenia polskiego Orderu Uśmiechu podczas szóstego z kolei jugosłowiańskiego Festiwalu Dzieci „Radość Europy".

Jesteśmy ciekawi, co w tym numerze uważasz za: DOBRE, LEPSZE, NAJLEPSZE. Wpisz tytuł artykułu lub ilustracji do kuponu, naklej na kartkę pocztową. Wyślij na adres redakcji — Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

OCENA	TYTUŁ
dobry	. . . . .
lepszy	. . . . .
najlepszy	. . . . .

ŚWIAT MŁODYCH — Nr 141

HARCERZE W CZYNIE ZJAZDOWYM

OZORKÓW (HSI). Harcerze z hufca Ozorków zobowiązali się wykonać na rzecz swojego miasta i szkoły szereg prac społeczno-użytecznych. Wszystkie meldunki o podjętych dla uczczenia VII Zjazdu PZPR czynach delegacje harcerskie złożyły na miejskiej Konferencji Wyborczej PZPR. Wartość czynu oblicza się na 700 tysięcy złotych! **(ej)**

5 minut z MAGDĄ

Zimno. Sztywnieję w takiej sytuacji nie tylko od zewnątrz, ale i od środka. I robię się taka... chropowata jakby. W domu to o tym wiedzą, tata nazywa mnie wtedy jeżozwierzem, a babcia mówi, że musi... rozgrzać moje fumy. Po paru dniach, czasami po paru godzinach przechodzi mi. Przyzwyczajam się do zimna, nie marznę od środka, nie jestem już chropowata i nie kłuję. Ale w trakcie tego zamarzania, to, nie daj Boże, ze mną zacząć — trzask, błysk, trach i bums! Czyli inaczej mówiąc zwyczajna scysja. Albo awantura, albo chryja... — jak kto woli to nazwać.

Właśnie ostatnio nadziała się na mnie, taką zamarzającą, Hanka. Śmieszne, Hanka, która od wieków mnie zna i która wszystko o mnie wie. A jednak. Z tym, że śmieszne wydaje się to mnie. W tej chwili. Hanka jest oburzona, obrażona, zdegustowana i... podejrzewam, że sama na najprostszej drodze do takiego właśnie zamarznięcia. Ciekawe, czy jeśli ja jej w takim momencie nadepnę na odcisk a ona na mnie naskoczy, to ja z kolei się zdegustuję?!

I czym dłużej nad tym myślę, to dochodzę do wniosku, że tak, że oczywiście. No bo niby dlaczego nie?! W końcu sytuacja jest zaskakująca — przyjaźnisz się z kimś, lubicie się wzajemnie, rozumiecie w pół słowa, a nagle, w którymś momencie odzywasz się do niego i on zamiast się uśmiechnąć — warczy. Każdy by się zdenerwował. Więc ja też. Inna jestem czy jak?!

Podzieliłam się tymi swoimi przemyśleniami z Tadeuszem, a on... ręce załamał. I powiedział, że nawet śmiać mu się trudno. Zaskoczyła mnie ta jego reakcja, więc pytam się, o co chodzi? A on na to też pytaniem mi odpowiedział, czy ja uważam, że mnie wolno czasami „zamarznąć", a innym nie?!

Hm, ze mną to jest tak, że trudno się aklimatyzuję gdy mrozy nadchodzą, złości mnie to, wściekam się — ot, cały powód złego humoru. Jasne, proste, każdy powinien zrozumieć, nie?!

Zaraz... A może to jego pytanie nie było takie bezsensowne? Tak w ogóle, to ja wiem, co on na temat takich humorów myśli — że człowiek powinien się opanować, nie dopuścić do niepotrzebnej draki. Skądinąd zgadzam się z tym poglądem, ale gdy powód jest absolutnie nie do podważenia, jak mój?

Mój?! Zaczynam rozumieć o co mu szło... Faktycznie, to wcale nie jest zabawne. Że każdy myśli tylko o sobie, siebie tłumaczy — innych nie.

Ale Hanka też tak postąpiła, więc?!...

MAGDA

REPORTER Świata Młodych

KONKURS NA ŻYCIE

Gdy rozmawiam z ludźmi o mojej miejscowości, stwierdzam jak wiele się tam zmieniło. Choćby już sam sposób ubierania się świadczy o coraz wyższej kulturze i dobrobycie ludzi, nie mówiąc o mieszkaniach. Dawniej uważano wieś za ostoję zacofania i ciemnoty. Dziś jest ona często ośrodkiem niemniej kulturalnym i nowoczesnym od miasta. W mojej wsi np. jest wzorowa biblioteka, klub „Ruchu" i sklep.

Najważniejsza jest zmiana w ludziach, ich usposobieniu, kulturze i sposobie myślenia. Zmieniła się młodzież, stała się inteligentniejsza i bardziej oczytana, uczy się w miastach i pracuje, zdobywając kwalifikacje i doświadczenia.

ROZSĄDEK I POSTĘP

Jednocześnie ze wzrostem poziomu życia i kultury wzrasta poziom potrzeb. Dla przykładu: mój kolega z klasy, niby taki niepozorny — jak go nazywają — „wsiowy mieszczuch", chce dopasować swą osobę do współczesnej mody. „Zużywa" na rok po kilka par butów, które po przechodzeniu po prostu pali w kuchni. I co się okazuje? Że z modą idzie w parze małe marnotrawstwo.

Inny przykład: do szkoły dojeżdżam. Wstaję o 6.50. Dyrekcja PKS zrobiła nam „ogromną przysługę": specjalnie dla nas zaplanowano późniejszy autobus na godz. 8.30. Jak się okazuje, „specjalny" jeździ pusty, bo w żadnym dniu nie mamy lekcji zaczynających się o godzinę później. Kto ma z tego korzyść? No, właśnie! Dobrze by było, aby postęp dokonywał się... rozsądnie!

Tom Gaston

JESTEM ZA TEORIĄ SCHMIDTA

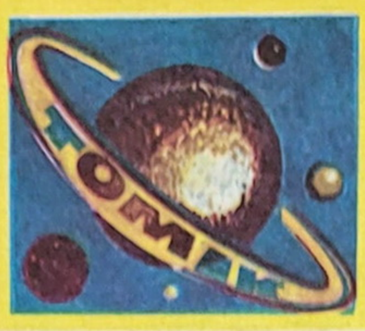

Zamieszczenie kilku wypowiedzi na temat powstania Układu Słonecznego wywołało prawdziwą lawinę listów. Czego ja się z nich nie dowiaduję! Jedni są za teorią Jeansa, inni Schmidta, jeszcze inni Struve czy Kuipera. Ale najciekawsi są ci, którzy wymyślają własne teorie. Oczywiście, prawie zawsze te „nowe" hipotezy są lekko zmodyfikowanymi teoriami, znanymi już od lat. Są również wśród nich prawdziwe „perełki", wprawiające człowieka w dobry humor. Dla przykładu jedną taką teorię, zamieszczam. Dałem jej tytuł: „Zderzenie gwiazd i co z tego wynikło". Rysunek również pochodzi od autora. Myślę, że komentarz jest tu zbyteczny.

Prezes TOMIKA
St. BOROWIECKI

Hipoteza co do powstania Układu Słonecznego przedstawiona przez kol. Adama Sokołowskiego (Tomik, Świat Młodych nr 132) wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobna, ponieważ astronom amerykański Henryk N. Russel i astrofizyk radziecki Mikołaj N. Pariskij stwierdzili, że spotkanie dwóch gwiazd w galaktyce jest prawie niemożliwe. Jeżeli by przyjąć przytoczoną przez kol. Sokołowskiego hipotezę o cygarze Jeansa, należałoby zgodzić się z tym, że systemy planetarne są nieliczne we wszechświecie. Gdyby zresztą doszło do spotkania dwóch gwiazd, to powstałe w ten sposób planety musiałyby się poruszać po zupełnie innych orbitach. Ponadto nie wystarczyłoby, aby nieznana gwiazda tylko zbliżyła się do Słońca na pewną odległość. Musiałaby wręcz zawadzić o nie, żeby wyrwać z niego tyle materii. Jednak w tym przypadku materia krążyłaby blisko Słońca i nie powstałyby z niej planety.

Chciałabym jednak przytoczyć hipotezę, do której skłania się większość uczonych, a mnie także wydaje się ona najbardziej prawdopodobna. Jest nią TEORIA SCHMIDTA.

Uczony radziecki Otto J. Schmidt sądzi, że Słońce przed miliardami lat przeszło przez mgławicę pyłowo-gazową i porwało ze sobą część zawartej w niej materii. Z materii tej po pewnym czasie powstały nie tylko planety i ich księżyce, ale także komety i meteory. Część porwanej materii spadła na Słońce pod wpływem jego przyciągania, większość jednak zaczęła obiegać dookoła niego w postaci obłoku posiadającego kształt dysku. Istniały w nim niewielkie zagęszczenia, które pod wpływem grawitacji zwiększały swą masę i rozmiary, a jednocześnie ich chaotyczne początkowo ruchy stawały się coraz bardziej regularne i w końcu powstały z nich planety.

Ewolucja ta przebiegała oczywiście przy bezpośrednim udziale Słońca, które nie było tylko biernym świadkiem całego procesu. W jego najbliższym sąsiedztwie powstały planety małe, ale za to zbudowane z materii o dużej gęstości. Stało się tak dlatego, że promieniowanie słoneczne „wypchnęło" z tych obszarów cząstki lekkich substancji. W większych odległościach od Słońca zagęszczenia praplanet mogły gromadzić materię z dużo większego obszaru i dlatego utworzyły się tam wielkie planety. Ale ich gęstość jest dużo mniejsza, ponieważ w tych obszarach zachowały się cząsteczki lekkich i najbardziej rozpowszechnionych pierwiastków we wszechświecie. W ten sposób Schmidt tłumaczy nie tylko różnice między masami i rozmiarami poszczególnych planet, ale także ich różny skład chemiczny.

Beata Kozłowska
ul. Staszica 10 m 29
99-300 Kutno

NIE KOL. SOKOŁOWSKI, LECZ SIR JEANS

Czytając artykuł kol. Adama Sokołowskiego pt. „Narodziny planet" zauważyłem, że wkradło się do niego duże nieporozumienie. Mianowicie autor opisuje tam, jak twierdzi, swoją hipotezę powstania planet, która jest w rzeczywistości od dawna znaną hipotezą angielskiego astronoma Jeansa! Sir James Hopwood Jeans (1877—1946) swoją hipotezę przypływową ogłosił w roku 1919 w pracy pt. „Problem of Cosmogony and Stellar Dynamics".

Tomasz Liszka
Krzykawa 23,
32-333 Sławków

Odkrycie GALAKTYKI najbliższej Ziemi

Profesor Christian Simonson, astronom z uniwersytetu Maryland (USA), odkrył nową galaktykę składającą się z około 200 milionów gwiazd i znajdującą się w odległości 55 tys. lat świetlnych. A więc jest ona trzykrotnie bliższa Ziemi niż słynne Obłoki Magellana, uważane przez setki lat za najbliższe nam galaktyki.

Jak to się mogło stać, że tak wielki twór jak galaktyka przez tyle lat „ukrywał się" przed oczami astronomów? Odpowiadając na to pytanie, prof. Simonson wyjaśnił, że po prostu galaktyka ta była zasłonięta przez obłoki pyłu kosmicznego i przez to niewidoczna. O odkryciu jej zadecydował przypadek. Zaintrygowany obecnością chmur na mapach nieba profesor doszedł do wniosku, że muszą one pochodzić z małej galaktyki „przywiązanej" niejako do pola grawitacyjnego Drogi Mlecznej. No i rzeczywiście nie pomylił się.

Na razie doniesienia agencyjne na temat nowego odkrycia są skąpe i, prawdę mówiąc, niewiele wiemy o tej najbliższej sąsiadce.

Przy okazji kilka słów o zdegradowanych (pod względem odległości) Obłokach Magellana. Są to dwie nieregularne galaktyki o słabo rozwiniętej strukturze spiralnej, położone na południowej półkuli nieba: Wielki Obłok Magellana — w gwiazdozbiorze Złota Ryba, Mały Obłok Magellana — w gwiazdozbiorze Tukan. W Polsce są one, niestety, niewidoczne. Odległość pierwszego wynosi 160 tys. lat świetlnych, drugiego — 175 tys. lat świetlnych. Nazwa ich pochodzi od nazwiska wielkiego żeglarza, Ferdynanda Magellana, który podczas swej wyprawy dookoła Ziemi (1519 — 1522), pierwszy podał ich opis.

ZDERZENIE GWIAZD I CO Z TEGO WYNIKŁO?

W poprzednich numerach „Świata Młodych" czytałem wypowiedzi na temat powstania Układu Słonecznego. Z żadną z tych wypowiedzi (teorii) nie zgadzam się. Moja hipoteza jest taka:

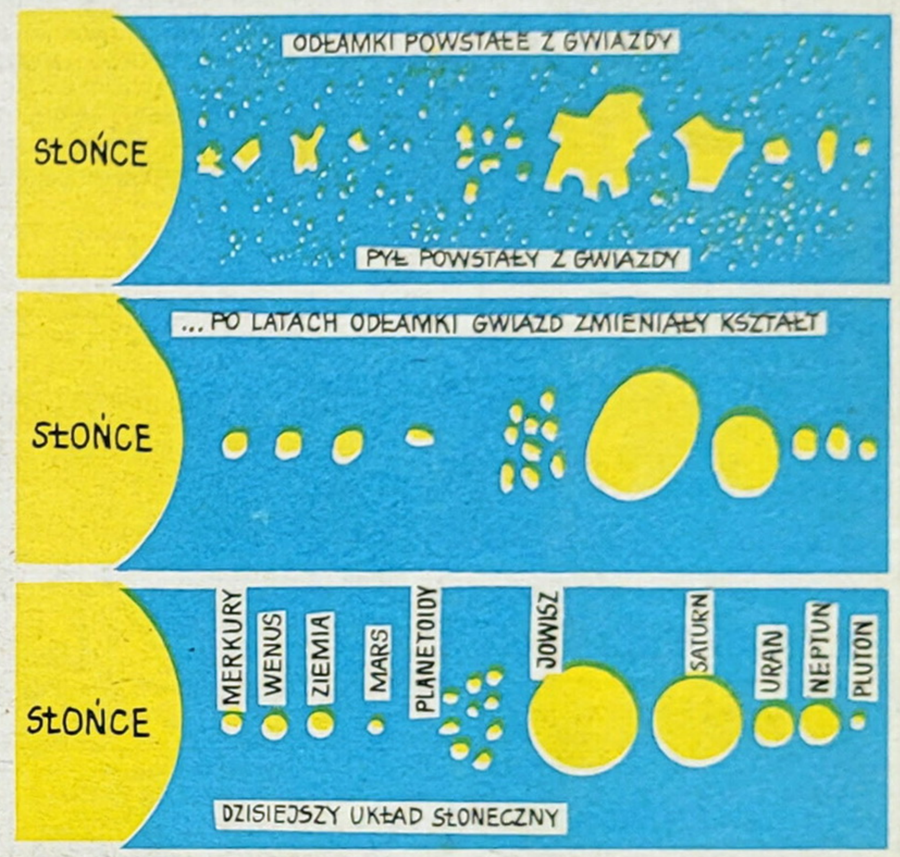

Bardzo dawno temu przed miliardami lat (gdy istniało już nasze Słońce), jakaś znacznie mniejsza od Słońca gwiazda w trakcie katastrofy z inną gwiazdą, zderzyła się także z naszym Słońcem. Zderzenie to było bardzo duże i silne. Słońce jako gwiazda zbudowana z najmocniejszej materii nie uległo w tej katastrofie żadnemu rozpadowi. Lecz tamte pozostałe dwie gwiazdy rozpadły się, ale w rozpadzie ich była także różnica. Gwiazda o budowie słabszej materii rozkruszyła się bardzo drobno, tak drobno, że powstał z niej tylko pył. Natomiast ta druga gwiazda, która miała lepszą materię, rozpadła się tylko na nierównomierne odłamy. Po latach odłamy te zaokrąglały się, aż przybrały kształt kulisty. Lecz nie były to jeszcze dzisiejsze planety, ale małe gwiazdy. Po latach na tych gwiazdach osiadał pył z pierwszej gwiazdy, która uległa całkowitemu rozbiciu. Warstwa pyłu stawała się po milionach lat coraz większa, aż gwiazdy te przestały świecić i tak stały się planetami. Między innymi, jedną z tych planet była nasza Ziemia, a z pyłu, który osiadł na Ziemi powstała skorupa ziemska.

Wewnątrz naszej Ziemi znajduje się kula, która daje ciepło i na pewno światło. I żeby można było Ziemię obrać ze skorupy, to wtedy nie byłaby to planeta, lecz gwiazda.

„ANTALE"

– Nie będziemy się bawili w głuchy telefon. Słowo.

– W chowanego też nie lubię. Pozwól sobie zakomunikować, Magdziol, że jestem dorosły.

– Ja wiem, ale mógłbyś...

– Może mógłbym – zgadza się Jurek. – Jeszcze się zobaczy. To znaczy, że Jurek będzie na urodzinach. Jak go znam, ten tryb warunkowy jest wiążącą obietnicą.

Gdy rzucam od niechcenia, że mój dorosły brat będzie na urodzinach, gdy niedbale wspominam o taśmach z nagraniami, kiedy mówię Markowi, żeby pamiętał o sobocie, widzę jak dziewczyny poważnieją. Zazdroszczą, jasne, że zazdroszczą. Żadna z nich nie wpadła na taki pomysł jak ja.

– Mama ci pozwala zapraszać chłopców? – informuje się Joanna.

Błyskawicznie przypominam sobie wymianę zdań sprzed kilku lat, kiedy Jurek...

– Mama uważa, że kolegów należy także zapraszać do domu. Bo jak się ktoś umawia tylko poza domem, to nie jest dobrze.

(W wypadku Jurka oczywiście chodziło o koleżanki, ale to przecież zupełnie to samo).

– Ty się umawiasz z chłopcami, Magda?

– Umawiam się.

Joanna nie zapytała, z którymi, a byłam na to przygotowana, miałam jej odpowiedzieć: „I tak ich nie znasz".

Przez Agnieszkę posłałam kartkę do Wieśka. Którego dnia, o której godzinie, normalnie. Zastanawiałam się, jak podpisać. Magdziol, Madzia, Magdalena Nowak, koleżanka Agnieszki, zgadnij kto, Magda. Zdecydowałam się na Magdalenę Nowak, brzmiało najpoważniej.

– Jeżeli Jerzy zostaje z tymi smarkaczami, możemy się gdzieś wypuścić. Co byś powiedziała na teatr? – spytał ojciec.

Mama ma coś do powiedzenia o teatrze.

– Nie zdążę pójść do fryzjera. Pomyśl lepiej o biletach do kina.

Tymczasem moczy się mak, pożyczyłyśmy tortownicę i mikser. Będzie lemoniada z kostkami lodu i plasterkami pomarańczy do picia przez słomkę (słomki też są kolorowe, z plastyku), herbata, jabłka, banany. Teraz nie ma żadnych wątpliwości, że wszystko się uda.

Tego najważniejszego dnia z trudem dosiedziałam do ostatniej lekcji, już nawet nie przypominałam, że o szesnastej trzydzieści; i tak pamiętali. Ci, których nie zaprosiłam, schli z zawiści. Sama słyszałam, jak Katarzyna objaśniła, że czegoś tam nie może, bo jest ZAPROSZONA DO MAGDY NA PRYWATKĘ. O to mi właśnie chodziło.

– Madziu, ustaw wszystko na stole. Przygotuj talerzyki, szklanki, łyżeczki. Pamiętaj, że ważna jest estetyka. Przynieś z naszego pokoju świecznik, ale proszę świec nie zapalać, łatwo o pożar i obrus się może zakapać stearyną. Tak, nawet nieźle stół wygląda. Przydałby się jakiś kwiatek. Podaj serwetki, patrz, tak się układa chryzantemę z serwetek...

Pojawia się ojciec.

– Czy oni to ocenią? – przygląda się nakrytemu stołowi. – I w ogóle to Madzia powinna, jeżeli już zachciało się jej takiego balu...

– Madzia zrobiła bardzo dużo – oddaje mi sprawiedliwość mama. – I w ogóle po co szukać dziury w całym? Już skończone. Zaraz wychodzimy. Jurek, opiekuj się gośćmi. Pamiętaj, o czym mówiliśmy. Madziu, zachowujcie się rozsądnie. Państwo Zawadzcy wiedzą o urodzinach, ale jak zaczniecie za bardzo tupać i hałasować, będą mieli pretensję.

Mama, kiedy ma wyjść na dwie godziny z domu, czuje potrzebę ostrzeżenia wszystkich, udzielenia mnóstwa dobrych rad – wtedy dopiero spokojnie przekracza próg.

Rodzice wyszli, Jurek okrąża stół, wcale nie będę zdziwiona, jeśli już teraz rozpocznie degustację tortu. Kocha jeść, ale trochę się tego wstydzi, pod moim spojrzeniem odsuwa się od stołu.

– Magdziol...

– No?

– Od piątej klasy wykreśliłaś ze swojego słowniczka chłopców. Miałaś tylko koleżanki. – Widocznie pokusa jest silna, Jurek na wszelki wypadek odwraca się tyłem do tortu. – Ojciec się kiedyś nawet spytał, czy szkoły są jeszcze koedukacyjne.

– Jakie?

– Koedukacyjne. Z twoich relacji o zakładzie naukowym wynikało, że oświecane kagankiem wiedzy są wyłącznie dziewczęta. Uspokoiłem rodziciela stwierdzeniem, że ilość młodzianków jest mniej więcej proporcjonalna do ilości dzieweczek...

C. d. n.

11 JONKA, JONEK i KLEKS!

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEŁ

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-13-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-71, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-58-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Maria Jaworska

Opracowanie graficzne: Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna: Anna Dąbrowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa.

Zam. 141/7534 B-73
Nr indeksu — 35039/35044

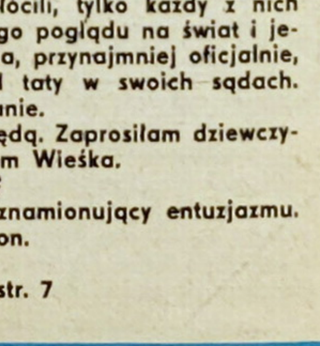

MOŻE NIE, MOŻE TAK

11

EWA NOWACKA

– Także?
– Przypuszczalnie. Albo może jesteś wyjątkiem.
– A jak ktoś nie chce?
– To nie musi. Wolna wola istnieje.

W ryku magnetofonu wyciągam się na tapczanie, przeglądam pisma. Są horoskopy. Przebiegam oczami tekst, który obiecuje mi na początku roku miłe spotkanie i wielkie szanse zawodowe w miesiącach letnich, a na jesieni daleką i interesującą podróż. Mam unikać Wodników i przyjaźnić się z Baranami. Niektóre dziewczyny przepisują horoskopy albo uczą się ich na pamięć, ja je przeglądam dla zabawy.

Zabieram się do krzyżówki z pełną świadomością, że ojciec będzie miał pretensję, krzyżówki zastrzeżone są dla niego. Policjant turecki, miasto w Rumunii, wyspa na Morzu Irlandzkim, strasznie trudne hasła, ma ciepłe kolanka, ha, kaloryfer, k–a–l–o–r–y–f–e–r, zgadza się, w takim razie zobaczymy co to jest pięć w dół, skuszona owocem...

– Jurek! Kto się skusił na owoc?
– Jaki owoc?

Wymieniamy jeszcze kilka wrzasków, w konsekwencji Jurek zjawia się w moim pokoju i wspólnie zabieramy się do krzyżówki.

– Spróbuj wpisać Afrodytę.
– Nie pasuje. Za dużo liter.
– Zobacz w poziomie.

Wzrok Jurka pada na jabłkowego olbrzyma, który leży przy tapczanie.

Witaminy znakomicie poprawiają zdolność logicznego myślenia. Magdzioł, daj bratu to jabłko.

Biorąc je w rękę czuję, jakie jest ciężkie i gładkie. Jabłko za złotówkę. Właściwie powinnam go spróbować, bądź co bądź to jest moje jabłko.

– Podzielimy się. Przełam.

W rękach Jurka jabłko pęka z cichutkim chrzęstem. Na podłogę kapie kilka kropel soku.

– Pomyślmy, kto miał do czynienia z owocami. Herakles, ale odpada. Parys z trzema boginiami, odpada... Czekaj, Magdzioł, była jakaś Kidyppe...

To jabłko za złotówkę jest słodkie i soczyste, jak się w nie dobrze wgryźć, czuje się leciutki kwaśny smak, który wydaje się jeszcze wzmagać słodycz.

– Magdzioł, sprawdź dwanaście w poziomie...

Dziś dzień urodzin.

– Ja w każdym razie wychodzę – zapowiada groźnie ojciec. – Nie znoszę bałaganu, a oni nie potrafią się bawić kulturalnie, krzyczą, tupią. Nie, nie i jeszcze raz nie! W ogóle jestem przeciwny prywatkom. Niedawno czytałem...

– To przestarzałe. Demonizowanie prywatek wyszło ostatnio z mody.

– Jerzy!

– Kiedy rzeczywiście. Dziesięć lat temu winę za „dzisiejszą młodzież" przypisywano prywatkom, obecnie coś jakby zmiana aspektu. Prywatki rehabilitowane.

– Czy ty kpisz, czy o drogę pytasz, Jerzy?

Te wymiany poglądów, dyskusje albo kłótnie sprawiają i ojcu, i Jurkowi dużo satysfakcji. Kiedy Jurek twierdzi, że coś jest białe, ojciec momentalnie nazywa to czarnym i na odwrót. Nie znaczy wcale, żeby się naprawdę kłócili, tylko każdy z nich stara się zaznaczyć niezależność swego poglądu na świat i jego sprawy. Mama zwykle popiera ojca, przynajmniej oficjalnie, nieoficjalnie – bardzo się różni od taty w swoich sądach. Mnie, jak dotąd, nikt nie pyta o zdanie.

Najważniejsze, że moje urodziny będą. Zaprosiłam dziewczyny, Marka, Roberta, Jacka. Zaprosiłam Wieśka.

– Jurek, mógłbyś zostać w sobotę?

Brat wykrzywia się w sposób nie znamionujący entuzjazmu.

– Nie lubię zabawy w głuchy telefon.

Ciąg dalszy na str. 7